Nr. 4. Rok I.



Cena prenumeraty
kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austryackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 21 Stycznia 1871.

Redakcja
przy ulicy Berlińskiéj Nr. 11.
Ajencje:
Lwów: Milikowski, Gubrynowicz & Co.
Kraków: Friedlein, Józef Czech.

Mieszkania nawodne przedhistoryczne.

przez

Dr. K. Libelta.

(Ciąg dalszy.)

d) Nawodziska Czeszewskie.

Wieś rycerska Czeszewo w powiecie Wągrowieckim, na pół drogi od Wągrówca do Kcyni, jest jedną z najstarszych osad téj okolicy; była zawsze wsią kościelną, a akta w Kcyńskim grodzie, przechowały układy o granice i jezioro aż pod koniec XIV wieku. Kościół zapewne kilkakroć spalony, nie zawiera żadnych dokumentów, z którychby o założeniu i dziejach Czeszewa wnosić można. Z dwoma folwarkami Gręzinami i Kujawkami, stanowiło niegdyś jedno folium hipoteczne. Leży w nizinie ponad obszerném jeziorem, opasane rozległemi torfistemi, po części mokremi łąkami. Z tamtéj strony jeziora otaczają niziny Czeszewskie wzgórza Wiśniewa, Smuszewa, Podolina i Wapna; od przeciwnéj strony ciągną się wzgórza Łukowa, Morakowa, Czerlina, Panigrodza i Stołężyna. Okolica na kilka mil drogi wszerz i wzdłuż w łąki nader obfita, przezwaną została Pałuki, a mieszkańcy zwią się Pałuczanie.

Było tu jeszcze na początku XII wieku, niepewne pogranicze pomiędzy Pomorzem a Polską, a Pomorze dopiéro Bolesław Krzywousty podbijał i nawracał, wziąwszy szturmem miasto ich Nakło, cztery mile ztąd odległe. Zaś nazwy wsi Słupowy, Słupy, może przypominają słupy, które dawniéj Bolesław Chrobry na granicach zdobytego państwa swojego wbijać kazał. Wszystko to dowodzi, że kultura tych stron nie bardzo odległych sięga czasów. Na pograniczu pogańskiego Pomorza, gdzie pogaństwo utrzymało się jeszcze w XII wieku, obszerne bory, moczary, trzęsawiska pokrywały okolice. Gdzieś niegdzieś pojawiała się osada wiejska. A jeżeli po innych powiatach Polski znajdujemy ślady, że lasy porosły po niegdyś uprawnych gruntach, w tych stronach śladu takiego nie znajdziesz. I owszém cała zewnętrzna pagórkowata, dołami i dołkami poprzecinana formacja gruntów pokazuje dowodnie, że uprawa rolnicza zaledwie kilka wieków liczy, a popozostawały wszędzie ślady niedawnych jeszcze siedlisk pogańskich. Jest to okolica żali. Są to małe pagórki, na których naniesione cztery wielkie kamienie, obrzucone kilkunastu mniejszemi. Rozkopawszy taki pagórek, najdujemy popielnice, surowe garnki z popiołem ze spalonych kości. Zdaje się, że to były grobowce naczelników gmin albo téż kapłanów. Znaczną ilość tych żali już rozwieziono. Ale zawsze ich jeszcze po kilka się znajduje. We wsi Dobieszewko, półtory mili od Czeszewa, na piaskowych wzgórzach, całe cmentarzysko się zachowało. Na szczycie wzgórza kamieniami naznaczone koło, od którego rozchodziły się promieniami szerokie chodniki także kamieniami naznaczone, a u spodu wzgórza niezliczona ilość popielnic z nakrywami i bez nakryw, małych i wielkich, rozmaitéj formy, do tego różne wyroby z niewypalonéj gliny, zabawki dla dzieci i t. p. Ale żadnego śladu robót kruszczowych, z wyjątkiem szpilek i iglic nader prostéj roboty. Dopóki wieś ta była w posiadaniu posła Kazimirza Kantaka, wielka ilość tych wykopalisk, najwięcéj jego ręką odsłoniona z piasku, dostała się do różnych muzeów i do zbiorów osób prywatnych.

Wszakże i wszędzie indziéj po polach, kopiąc trafiamy na popielnice nader małego kunsztu, bez znamion żadnéj kultury. Na polach Czeszewskich odnaleziono granice zwane opola, o których pierwszy pisał profesor Wrocławski.

Były to granice gmin stowarzyszonych do jednego okręgu, mającego wspólne obchody religijne i społeczne. Granice te ciągły się po wyniesionych i nasypywanych miejscach, a tworzyły je dwa rzędy kamieni prostopadle

w głąb ziemi nastosowanych. Rzędy szły w odległości pięciu kroków od siebie. Szczytów kamieni widać nie było, ale wielekroć pług o nie zawadzał. Opole ciągło się przez pola i lasy i otaczało zwykle górę, będącą zapewne punktem zebrania mieszkańców całego opola. W Czeszewie jest taką górą Babionka, tuż za Kujawkami, do której lud wiejski przywiązuje różne podania o duchach, widziadłach i t. p.

O pół mili od Czeszewa leży Wapno, głośne z obfitych kopalni gipsowych. A że nigdzie kamieni wapiennych nie najdziesz, widać że nieumiejętny założyciel téj włości, biorąc gips za wapno, nazwał ją Wapnem. Wyjątkowe to tylko w téj okolicy kopalnie. Widać że obszerna skała gipsowa w tém miejscu właśnie aż do powierzchni ziemi wypartą została. Za to wszystkie okoliczne włoście obfitują w znaczne pokłady torfu i we wapno muszlowe będące wybornym materjałem do mierzwienia, tynkowania i bielenia. Całe jezioro Czeszewskie na pokładzie takiego wapna spoczywa, które się ciągnie daleko w ląd po pod pokładami torfu. Wapno to urobione z rozpuszczonych muszli i skorup ślimaczych, sięga kilkanaście stóp głębokości; a po łąkach i przyległych rolach masa się jeszcze wyoruje skorup ślimaczych, co znowu dowodzi, że uprawa rolna tych stron nie sięga dalekich czasów.

Ten krótki topograficzny obraz Czeszewa, zdawał nam się być potrzebnym, aby czytelnikowi wykazać możność, że rzeczywiście w tych stronach nawodziska znajdować się mogły, albowiem czasy, w których tu jeszcze pogański i mało uzdolniony lud przemieszkiwał, nie są tak odległe.

Jezioro Czeszewskie miało przed trzydziestu laty 450 mórg magdeburskich rozległości. Dziś opuszczone przez rowy liczy sto mórg mniéj i poziom jego opadł na dwie stopy. Wszakże jeden rzut oka pokazuje, iż cała nizina między Wiśniewem, Smuszewem i Podolinem z jednéj, a Morakowem, Czerlinem i Stołężynem z drugiéj strony, zalaną niegdyś musiała być wodą, która upływ swój znalazła w rzeczce Wełnie, wpadającéj pod Obornikami do Warty.

Do tych przedhistorycznych epok, tak rozległego w tych stronach wód zalewu, po których tylko pozostały torfy i pokłady muszlowego wapna — nie sięgają nawodziska Czeszewskie. Są one wiele późniejsze, acz też przedhistoryczne i jak zaraz okażemy, ograniczają się na szczupły obrąb dzisiejszego jeziora.

Jezioro to ma kształt obdłużny na długość 545 prętów, jednym końcem sięga granicy między Wiśniewem i Czeszewem, drugim, północno-wschodnim, stanowi granicę między Czeszewem, Kujawkami i Smuszewem. I w tymto końcu pozostały ślady nawodzisk. Nikt ich nie dociekł, bo je woda zakrywała, tylko rybacy skarżyli się, na zawady, które im w tych stronach sieci rozrywały. Dopiéro gdy pierwszy rów bito po obu stronach jeziora i woda z jeziora nieco opadła, zaczęły się z wody wychylać pale dębowe, wyraźnie w grunt jeziora gęsto powbijane, i ludzie, gdy temu nikt nie przeszkadzał, wyciągali je na brzeg, suszyli i na opał obracali. Mnóstwo tych pali w ten sposób naginęło, aż znowu rowy pozachodziły, poziom jeziora się podniósł i wydobywanie palów ustało. Gdy jednak zalewy jeziora były znaczne i nie tylko łąki ale nawet role aż do połowy czerwca stały pod wodą, zawiązało się od trzech lat towarzystwo osób interesowanych i odkopało wedle niwelizacji rów na dwie mile długi od Żurawi aż do Laskownicy po obu stronach jeziora ciągnący się. Czém się stało, że jezioro na dwie stopy opadło i w miejscu powyżéj wskazanym odsłoniły się nie tylko pale, ale i pokłady czyli pomosty, które na nich niegdyś leżały, a z czasem zwaliły się. Tak silnie były pnie, z których się te podłogi na 5 do 6 stóp szerokie składały, ze sobą za pomocą pali spojone, że się po tylu wiekach jeszcze kupy trzymały, i z trudnością dawały się rozerwać. Nie było widać ani gwoździa, ani żadnego wiązarku. Wszakże i te pamiątki odległych czasów nie dały się uratować od kradzieży; poszły na opał, ile że wsie Kujawki i Smuszewo o wiele bliżéj leżą tego miejsca, niżeli znacznie od jeziora oddalone Czeszewo.

Pale są z surowych odłamów dębowych od 4—6 cali szerokie, wbijane w grunt na 3 do 5 stóp, wystające nad gruntem od 1 do 6 stóp, wedle tego, im głębsze stają się brzegi, tak że widocznie poziom wody stanowił powierzchnię, do której sięgały pale. Są rzędami wbijane o cztery stopy od siebie. Oczernione, zewnątrz omiękłe od wody, mają jeszcze rdzeń twardy i silny; wierzchołki ich jakby od bałwanów omelone i strącone. Obszar tych palów, które fala idąca zwykle od Wiśniewa ku Kujawkom pochyliła, niewielki; zda mi się, że nie przenosi morgi magdeburgskiéj. Pomosty zbite z pni różnego drzewa, są na sześć łokci długie, na 2 do 2½ łokcia szerokie, leżą w rozmaitych kierunkach pomiędzy palami, na samym gruncie, tu owdzie zagrzęzłe w szlamie lub piasku. Większa część tych podłóg, czy pomostów, mianowicie ta, która na głębiach leżała, zapewne spłynęła, dobiła do brzegów i poszła na opał. Tylko na mieliznach, bliżéj lądu, wichry i burze powpychały je między pale, i zachowały je na gruncie, jako starodawne zabytki mieszkań nawodnych.

Nikt się też ich tu nie domyślał. Ja sam zwiedzając pierwszy raz te nadbrzeża podczas spadku wody, tak że wierzchołki palów nieco z jeziora wystawały, byłem przekonany, że to są zasieki z czasów wojennych, mające bronić przeprawy kawalerji przez miałkie brzegi jeziora, zwłaszcza, że po południowéj jego stronie, na gruncie Smuszewskim, wzgórza dość znaczne nadbrzeżne usypane są w okopy, które dotąd lud szańcami Szwedzkiemi nazywa. Dotykające w tę stronę pale wydawały się w połączeniu z szańcami stanowić jeden system obrony. Odsłonione późniéj pomosty zmieniły naturalnie ten rodzaj zapatrywania się z wojennego stanowiska.

(Dokończenie nastąpi.)

Pod jednym dachem.

Powieść

przez

Wołodego Skibę.

(Ciąg dalszy.)

Zaraz po wyjściu Pilskiego, ledwie mógł być tak daleko, że go już z okien dojrzeć nie było można, panna Izydora przypomniała sobie, że porządek wymaga usunąć z bramy kartę oznajmiającą lokal już wynajęty. Zaniedbanie téj czynności mogłoby narazić przechodzących na daremną fatygę, a panny Rękalskie na niepotrzebne wizyty, nie godziło się więc odkładać. Służącéj na razie nie było w domu, więc panna Izydora sama dopełniła ceremonji oznajmienia miastu i światu, że jeden lokal już został wynajęty, a następnie nie powróciła

do mieszkania, lecz udała się do ogródka i podlewając kwiatki zaczęła się oddawać samotnym dumaniom.

I poczciwe kwiatki, chociaż zapewne dumań panny Izy podsłuchać nie potrafiły, musiały się jednak domyślić, że coś nadzwyczajnego w domu zaszło. Nigdy jeszcze nie były podlewane tak uważnie, nigdy jeszcze rączka panny Izydory tak starannie nie oskubywała uschłych i powiędłych listków. Widocznie szło jéj o to, żeby ogródek przybrał postać świąteczną, bo święto i wesele było w jéj serduszku dziewiczém.

Marzenia jéj płynęły swobodnie, błogo, a daleko, bardzo daleko...

Czyż to jednak na świecie ludzie pozwolą kiedy szczęśliwéj duszy wymarzyć się do syta, wybujać się w atmosferze pięknych nadziei i wykąpać w oceanie złotéj, spodziewanéj przyszłości?...

Zawsze znajdzie się ktoś natrętny, co srebrną nić marzenia przetnie jak nożyczkami, bez żadnéj litości.

Ciocia Petronela była najruchliwszą w domu istotą, najczęściéj ją widziano na podwórzu, najczęściéj zachodziła do ogródka, od niéj więc najprędzéj należało się spodziewać przerwania marzeń, i ona téż je przerwała.

Niewiedzieć zkąd znalazła się za panną Izą i zagadnęła ją niespodzianie:

—Więc powiadam, Iziu, że on bardzo przystojny?

Pannie Izydorze zdawało się w pierwszéj chwili, że to zapytanie wyszło z jéj własnéj myśli, więc téż odpowiedziała jakby sama sobie:

— O! bardzo!...

— I bogaty?... — indagowała daléj nieubłagana ciocia.

Tu już niepodobna było myśléć, że zapytanie z własnéj myśli panny Izydory wychodzi. Myśl jéj zajęta była w téj chwili nieznajomym tylko, nie jego majątkiem. Czy był bogatym, czy ubogim, czy posiadał skarby Krezusa, czy tylko te dwa reńskie, które dał jako zadatek na komorne, było to dla panny Izydory najzupełniéj obojętne. Obce zatém tylko usta mogły jéj zadać takie poziome pytanie.

Podniosła oczy i w téj chwili dopiéro poznała ciocię Petronelę.

Żywy rumieniec wystąpił na jéj twarz, spostrzegła się, że się zdradziła.

Nielitościwa ciocia powtórzyła pytanie:

— Więc powiadasz że i bogaty, Iziu?...

Panna Iza oburzyła się.

— Ależ kto? — zapytała niechętnie.

— No, on...

— Nie wiém zupełnie o kim ciocia mówi...

Panny Rękalskie tytułowały swoją kuzynkę ciocią, choć w istocie była ona ich siostrą cioteczno-cioteczną. Przyznać się do tego jednakże było to pozwolić przypuszczać niejakie rówiennictwo co do wieku; córki archeologa zgodziły się zatém, że tytuł ciotki będzie mniéj dla nich drażliwym, a wiekowi panny Petroneli więcéj odpowiednim. Wprawdzie takim sposobem pozwalały przypuszczać, że są niejako rówienniczkami Kazi, to jednak nie zdawało im się tak dalece niedogodném.

— Nie wiész o kim mówię, doprawdy? — dziwiła się panna Petronela, — a filutko! .. niby to nie dla ciebie się sprowadza?— .

Panna Izydora nadąsała się na serjo.

I!... bo ciocia to zawsze!... jakżeż można?... to nie wypada doprawdy!... gotówby kto nie wiém co myśléć!...

— No, no, nie gniewaj się a powiedz .. czy on bogaty?...

Zagniewana panna Iza stanowczo odmówiła odpowiedzi na prozaiczne zapytanie Wzruszyła tylko ramionami i odeszła, zostawiając ciocię z kwiatkami.

Wróciwszy do mieszkania, skarżyła się siostrom, że jest czegoś nieswoja, że jéj coś jest, z czego sobie sama sprawy zdać nie potrafi. Siostry znacząco spojrzały po sobie i doradziły jéj spoczynek. Pochwyciła tę myśl z ochotą, wyszła do ostatniego pokoju i zamknęła się w nim.

Panna Teodora i panna Eleonora przez chwilę patrzyły na drzwi. które się dopiéro co za najmłodszą latoroślą szczepu Rękalskich zamknęły.

— Szczęśliwa! — westchnęła panna Teodora.

Panna Eleonora westchnęła również i zawtórowała niby echem:

— Szczęśliwa!...

Tymczasem panna Iza w samotnym pokoiku, zamknąwszy się, ani myślała o spoczynku.

Gdyby jakie oko męzkie, mogło się przedrzeć przez gęste firanki i przez liście kwiatów w niezliczonych doniczkach poustawianych na każdém oknie, i gdyby podpatrzyło tajemnice cichego przybytku niewinności i cnoty, spostrzegłoby, że panna Izydora wyjęła ze stolika talję dobrze zużytych kart, i.....

Ale sza!... nie odsłaniajmy tajemnic.

Przez dwie godziny panna Iza nie pokazała się do sióstr, a siostry nie przerywały jéj spoczynku i nie odrywały od marzeń.

Prawdę powiedziawszy, uczyniły to nietyle przez dyskrecję jak raczéj dla tego, że nie miały na to dosyć czasu, gdyż przez te dwie godziny zaszła pewna okoliczność, która miała być przyczyną nie małego zmartwienia dla panny Izy.

W małą godzinkę po wyjściu Pilskiego znowu zapukano do drzwi. Tym razem odwiedzającą była kobiéta, młoda, bardzo piękna kobiéta.

Na jéj twarzy zasłoniętéj woalką znać było jakieś ślady trosk przeżytych; w oczach, cudnych błękitnych oczach malował się niby smutek i niepokój w połączeniu; ślicznie narysowane usta nie były skłonne do uśmiechu, twarz dziwnie miła i regularna z jakąś chorobliwą szybkością pokrywała się żywym, karminowym rumieńcem i nagle w posągową przechodziła bladość, — wszystko to jednak nietylko nie ujmowało jéj powabów, lecz owszem zdawało się ich dodawać.

Mogła mieć lat dwadzieścia, dwadzieścia jeden najwyżéj.

Powodem jéj przyjścia była druga karta wynajmu, pozostawiona jeszcze na bramie. Szukała mieszkania i pragnęła obejrzeć ów pokoik z kuchenką w głębi podwórza, w sąsiedztwie pani Gącińskiéj, będący jeszcze do wynajęcia.

Nie chcemy bliżéj badać dla czego, ale obu siostrom jakieś przeczucie powiedziało, że gdy się panu Pilskiemu za radą panny Izydory na wszelki sposób ułatwiało wynajem, téj pięknéj pani należy go o ile podobna utrudnić. Panna Teodora postanowiła sobie, że o ile pierwszemu nowemu lokatorowi zniżyła komorne, o tyle téj domniemanéj lokatorce podwyższyć je musi, i żadnych reperacji, żadnych udogodnień nie przyrzecze.

Była w tém może tylko prosta chęć wyrównania domowego budżetu, a może się téż kryła jakaś głębsza polityka... czytelnicy niech się domyślą jeśli mogą, — nam nic do tego. Za to tylko zaręczyć możemy, że i panna Eleonora była tegoż samego zdania, choć obie siostry tylko ukradkowemi spojrzeniami mogły w téj sprawie porozumiewać się z sobą.

Nieznajoma usłyszawszy o cenie, dosyć po podwyższeniu wygórowanéj nie przeraziła się nią przecież bynajmniéj; warunek, że wszelkie reperacje należą do lokatora także nie odstraszył jéj wcale. Nie myślała widocznie się targować i z góry przystawała na wszystko, a mieszkanko samo, które w gruncie nie było arcydziełem wygody, znalazła prześliczném i doskonałém.

Nie wiemy również czemu pannom Rękalskim nie bardzo przypadała do smaku ta zgodność i te pochwały oddawane ich rodzinnemu gniazdu; nie wiemy czemu obie siostry chętniéj słuchały wybredzań i targów Józefa Pilskiego, niż grzecznych i przychylnych wynurzeń pięknéj nieznajoméj kobiety.

Bądź co bądź panny Rękalskie były zbyt dobrze wychowane, ażeby mogły oświadczyć przybyłéj, że jéj nie wynajmą mieszkania, bo na pierwszy rzut oka nie uczuły dla niéj bardzo żywéj sympatji. Nieznajoma zgadzała się na wszystkie warunki, potrzeba było przyjąć ją pod swój dach, acz niechętnie.

— Więc pani wynajmuje? — zagadnęła najstarsza z trzech gracji Babiéj wyspy.

— Zapewne, — odrzekła nieznajoma, — są jednak jeszcze pewne warunki Przedewszystkiém czy można się sprowadzić zaraz jutro?...

Pannom zdawało się, że warunki odstraszą piękną nieznajomą od wynajmu, na wyścigi zatém zaczęły wyliczać trudności.

— Potrzeba jeszcze wymyć podłogę...

— Niektóre reperacje są konieczne...

— Szyby w oknie jedném brakuje...

— To wszystko do jutra zrobić się nie da, więc się zobowiązać nie możemy.

Uwagi te nie sprawiły pożądanego skutku.

— To już do mnie ma należeć, — odrzekła nieznajoma, — wolę, żeby to zrobiono pod mojém okiem... przecierpię trochę niewygody, ale przynajmniéj nie będę mieszkała w hotelu...

— A!... pani mieszkasz w hotelu?...

— Od dziś rana i nie chciałabym dłużéj jak do jutra tam zostać... jeżeli więc nie ma innych przeszkód...

— Innych... nie ma — z westchnieniem odpowiedziała panna Teodora, — zatém pani wynajmuje...

— To jest — jeszcze jedna okoliczność.

Panny odetchnęły. Ta okoliczność uwolnić je mogła od pięknéj, zanadto może pięknéj lokatorki.

— Pojmują panie... — mówiła nieznajoma, — że kobiéta w moim wieku, zmuszona mieszkać sama, przed wybraniem mieszkania radaby wiedzieć z kim sąsiadować będzie.

— A to bardzo naturalne!... bardzo naturalne! — potwierdziły panny Rękalskie.

— Raczcie mi więc panie dać pobieżną charakterystykę moich przyszłych sąsiadów i sąsiadek.

Panny opowiedziały tutaj to wszystko, co nam za pierwszy rozdział naszéj powieści posłużyło. Naturalnie opowiadanie ich różniło się bardzo od naszego, inaczéj bowiem mówi autor do czytelnika o osobach, które ma wprowadzić na scenę, a inaczéj gospodynie o lokatorach, zwłaszcza téż do osoby nieznajoméj.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jeszcze Polska nie zginęła.

(Na nutę marszu Dąbrowskiego.)

Jeszcze Polska niezginęła,
Jeśli my żyjemy;
Co nam obca przemoc wzięła
Życiem odkupiemy.
Marsz, marsz Polacy,
Do twardéj pracy!
Za Bożym przewodem,
Będziemy narodem.

Zniesiem gromy, zniesiem kary,
Będziem Polakami,
Jeśli tylko cnót sztandary
Peszanujem sami.
Marsz, marsz Polacy, itd.

Jak z ojcowych dni rycerze,
Co gromili wroga,
My pracujmy daléj szczerze
U przyszłości proga.
Marsz, marsz Polacy, itd.

Wróg się w Polsce nieosiędzie
I nie zwalczy ducha
Jeśli hasłem naszém będzie
Narodowa skrucha.
Marsz, marsz Polacy, itd.

Jeśli ojce dzieciom wpoją
Że to kary z nieba,
A przykładem doma stoją
Co naprawić trzeba!
Marsz marsz Polacy, itd.

To i dziatwa ich posłucha,
Odrodzi się w cnocie;
Pełna ognia, pełna ducha,
Niestanie w robocie.
Marsz, marsz Polacy, itd.

Niezmoskali ni zniemczeje,
Nie wyprze się wiary;
Wyszlachetni i zmężnieje
Na przyszłe ofiary!
Marsz, marsz Polacy, itd.

Nasze winy nas zniszczyły,
Tyś opuścił Panie!...
Pracą zdobyć cześć i siły,
To nasze zadanie!
Marsz, marsz Polacy, itd.

Dzielném było plemie Lasze,
Młodzież takiém będzie;
Gdy naprawi błędy nasze,
To i na koń siędzie!
Marsz, marsz Polacy,
Do twardéj pracy!
Za Bożym przewodem
Będziemy narodem.

Drezno 8 grudnia 1870.

W. Eng...

Z Moich Wspomnień.

O życiu towarzyskiém w Warszawie

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

Prócz poniedziałków, bywało w domu pp. Łuszczewskich, i każdego niemal wieczora, ściślejsze, poufne kółko przyjaciół — i koryfeuszów naukowych. Czytywano świeżo wyszłe, znakomitsze dzieła — rozbierano

je, wykładano, jak n. p. Komos Humboldt'a. Panny były obecne zawsze, co niezmiernie na ich umysłowe wykształcenie wpłynęło. Przeto i nic dziwnego, że w Deotymy improwizacjach napotykamy erudycji tyle.

W czwartki dawali obiady z dobranych uczestników złożone. Może one i nieco przypominały czwartkowe obiady Stanisława Augusta.

Spotykało się w salonie pp. Łuszczewskich całe koło literatów i artystów stolicy. Bywali doktorzy medycyny — prawnicy — profesorowie — kapłani — wszystkie znakomitości krajowe. Tam widywaliśmy pp. Andrzeja Zamojskiego, Adama Potockiego, Tomasza Potockiego, Fryderyka Skarbka, księcia Kazimierza Lubomirskiego, i t. d. — Panie, Augustową Potocką, główną opiekunkę, staranną i troskliwą, niemal wszystkich dobroczynnych zakładów w Warszawie; księżnę Michałową Radziwiłłową, wdowę po naczelnym wodzu z roku 1831; panią Jędrzejowiczową, siostrę Fryderyka Szopera osobę nader zajmującą, wykształconą i zacną; z książąt Giedrojców, jenerałową Rautensztrauch, autorkę Ragony, Przeczucia, Miasta, Góry i Doliny, w Alpach i za Alpami itd.; pannę Józefę Prusiecką, wielce miłą poetkę, i zdolną; panią Paulinę z Radziejowskich Krakowową — która pierwsza w roku 1837 obudziła chęć i życie pomiędzy piszącemi Polkami, wydawanym przez lat kilka noworocznikiem, Pierwiosnek — pełną zalet i wyższego wykształcenia autorkę i t. d. i t. d.

A odwiedzali salon państwa Łuszczewskich i przejezdni, obcych narodowości mężowie, jak to: książę Ksawery Marmier — Charles Estridge — Mac Donnel — Rosoglio — Giustiniani itp. Częstym bywał tam gościem ś. p. Leon Łubieński — wielki miłośnik i opiekun literatury ojczystéj, jeden z najgorliwszych redaktorów Biblioteki warszawskiéj. — Z uczynnych, najuczynniejszy. Prosić go było o co — mówić mu było o czém, to pewno nie zapomniał — bo jeżeli zaraz zrobić nie mógł to chętnie a szczerze, przy najpierwszéj sposobności zadość uczynił każdemu. Pamiętam: przybyła do Warszawy młoda wirtuozka — Polka — ażeby dać koncert. Przywiozła do wielu osób listy polecające. Oczywiście, że do pana Leona także. Ale i do nas. Pan Leon zaraz zajął się szczerze — mimo to, że sam, jak twierdził, muzyki nie rozumiał i nie lubił. W dni parę potém spotykamy pana Leona.

— Wiecie państwo — zagadał — zrobimy fiasco z naszą protegowaną: słyszeli ją znawcy nasi, i wydali sąd jak najwięcéj niekorzystny...

— O mój Boże! to i cóż poczniemy! wymówiłam zakłopotana.

— Będziemy sprzedawali bilety! — odrzekł z uśmiechem. — Tak, pani, tém gorliwiéj będziemy sprzedawali bilety.

I tak się téż stało. A przy gorliwéj protekcji, to i koncert dość udał się dobrze.

Dowcipy jego nader trafne obiegały całą Warszawę. Nieraz może słone nieco, ale poczciwe zawsze.

W niedzielę, w południe, zbierało się u niego dużo mężczyzn — i słynne to były owe poranki. — Warszawa ze śmiercią jego straciła dużo.

Wdomowionym był tam także i Dominik Szulc, b. profesor wileńskiego uniwersytetu. Mąż uczony — sarkastyczny nieco — żartowniś — ale w gruncie zacny i poczciwy. Autor arcy-ważnéj pracy O znaczeniu Prus dawnych — O Pomorzu zaodrzańskiém — O źródle wiedzy tegoczesnéj — Żywot Kopernika i t d. — Gdy raz zapytano Franciszka Gąsiorowskiego: „A co tam wczoraj czytaliście na posiedzeniu Biblioteki warszawskiéj — odpowiedział:

— Szulc Dominik Prusakom znowu kawał kraju odebrał.

Słyszeliśmy w salonie pani Niny: Apolinarego Kątskiego — panią Poźniakowską — pannę Zofią Malhomme — Ignacego Komorowskiego, twórcę Kaliny i tylu innych prześlicznych śpiewów. Zgasł przedwcześnie na piersiową chorobę. A pragnieniem jego było zawsze, ażeby w cieplejszym odetchnąć klimacie, — tęsknił do ziemi klasycznéj — by włoskiéj posłuchać muzyki — i kształcić się coraz wyżéj, a wyżéj. To żądanie duszy nie spełniło się — i zgasł przedwcześnie. Na cmętarzu powązkowskim wdzięczni rodacy postawili mu pomnik: odłam skały z napisem Śpiewakowi Kaliny, ponad którą wznosi się krzyż, mający niby chustką przewiązane ramiona, jak to jest we zwyczaju ludu na Mazowszu. Po prawéj stronie krzyża stoi chłopię z krakuską w ręku i fletnią, a drugą składa wieniec laurowy na grobie śpiewaka. — Był on rodzonym bratem Józefa Komorowskiego, znamienitych zdolności artysty dramatycznego sceny narodowéj warszawskiéj. — Wiele z Teofilem Lenartowiczem przestawał.

Świetném było przedstawienie u pp. Łuszczewskich, wyjątku lirycznéj części Faust'a Goethe'go, z muzyką ks. Antoniego Radziwiłła. Przekład poezji dokonał Włodzimierz Wolski — a podłożył go pod muzykę Józef Sikorski.

Faustem był Michał Morzkowski —
Mefistofelesem, Włodzimierz Wolski —
Gretchen, pani Kurcowa —
Duchem, Józef Komierowski, obywatel z Płockiego poeta —
Księdzem — Józef Komorowski — artysta dramatyczny.

Chóry składali: pani Suffczyńska — panna Skibicka — panna Kazimira Łuszczewska — i panowie: Wacław Łuszczewski — Skibicki szambelan — Janicki — Kenig (dzisiejszy redaktor Gazety warszawskiéj) — Leo i Friese.

Szczególniéj zachwycała — porywała modlitwa Małgorzaty:

Cierpiąca,
Ty Bolejąca,
Oblicze łaski do mnie zniż!
Miecz w Twojém łonie,
Skrwawiony tonie,
Spoglądasz tam na syna krzyż.
Wzrok w górę mkniesz Ty,
Westchnienia ślesz Ty,
W strapieniu Twém i syna — drżysz!
Męczący,
Palący,
Ból tak po kościach drży.
Czego serce tęskni, żąda,
Czego pragnie i wygląda
Sama Ty wiesz — matko Ty!
Gdzie zwrócić oko śmiem
Wciąż boli — boli w łonie mém.
Tam bólu tylko znak.
Nie sama się obaczę,
Wciąż płaczę — płaczę — płaczę —
A serce pęka tak.

Ogródek przed oknem mojém
Oblewał łez gorżki zdrój.
Gdym dla ciebie dziś z rana,
Tych kwiatów rwała zwój.

Gdy z rana po promieniu,
Zabłysło słonko tuż,
Siedziałam w mojém strapieniu
Na biedném łóżku już.

Ach zbaw mnie, zbaw!
Od nędzy, hańby chwil!
Cierpiąca,
Ty Bolejąca,
Oblicze łaski do mnie schyl!

Później znowu było przedstawienie Dzwonu Szyllera — przekładu J. D. Minasowicza, z muzyką Józefa Sikorskiego. Twórca Tworów ułożył na tę uroczystość

wiersz arcy-piękny, na cześć poety Germanów, który sercem wielkiém i duchem podniosłym, raczéj do całego należał ogółu: bo całą ukochał ludzkość — bo zapragnął wolności i szczęsnéj doli, zarówno dla wszystkich ludów. A przepiękne:

Seid umschlungen Millionen!
Diesen Kuss der ganzen Welt!
Brüder — überm Sternenzelt
Muss ein lieber Vater wohnen.

Unser Schuldbuch sei vernichtet!
Ausgesöhnt die ganze Welt!
Brüder... überm Sternenzelt
Richtet Gott, wie wir gerichtet!

Przypomina sercu naszemu:

Boże najświętszy! przez Twe święte cudy,
Oddalaj od nas klęski, mordy boju,
Połącz miłości węzłem wszystkie ludy
Pod jedno berło Anioła pokoju!

Jeżeli tam płaczą w szczęsnych duchów przybytku — jeżeli wiedzą o sprawach ziemi — wieszcz Germanji dziś łzy roni zapewne.

Gdy I. D. Minasowicz czytał wiersz swój do Fryderyka Szyllera — miał zawsze łzy w głosie i na źrenicy.

Widziałem go w roku 1849 po raz ostatni. Mówił mi o Szyllerze — o przekładach swoich — i wiersz ten z rozczuleniem powtórzył. — Mówił z bolesném uczuciem, że mu narzucono pewne śledztwo, od którego wyłamać się nie mógł.

— Byłem im za czysty! — wyrzekł głosem stłumionym, i smutno głową pokiwał.

Śledztwo odbył. A niezadługo potém szlachetne zakończył życie. Mówiono, że w skutek zmartwienia.

Daléj wykonano na poniedziałkowych wieczorach Flibustjerów Dobrzyńskiego — Witulorandę Moniuszki — Alpuharę z muzyką J. Sikorskiego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ze świata i z chaty.

(Z martyrologji).

I.

Szary ranek, wilgotny się budzi,
Z ciężkich powiek mgły na ziemię trzęsie
I, drżąc cały, spoziera po polu,

Co tu ludzi, Boże, co tu ludzi!
Porąbane ciała, kęs przy kęsie,
Leżą cicho na skrwawioném polu.

Jeszcze biały dym po bitwie pływa,
Wiatr się mroźny zerwał, wnet go spędzi
I odkryje blask ukośny słońca.

Do fortecznéj przyparta krawędzi,
Czarna massa stoi, jak nieżywa,
Na nią pada blask ukośny słońca.

Chrapnął sygnał... bębny głucho biją:
Do apelu! Wiążą się szeregi,
Martwa cisza nad niemi się waży;

Cały w złocie, mąż jedzie przez śniegi,
Przy nim jeźdźce kręcą się i wiją,
Martwa cisza nad nimi się waży.

Tu i tam, kapryśnie wyrwane,
Wyorane w gzygzak śmierci pługiem
Wśród szeregów widać bruzdy czarne;

Wyszedł człowiek, i jedno za drugiém,
Czyta pięknie nazwiska spisane:
Wśród szeregów widać bruzdy czarne!

W taką bruzdę imię gdy upada,
To nie słychać ze szeregów echa,
Co odwtarza monotonne: jestem!

Jeno w polu, gdzie trupów gromada,
Złoty krzyżyk córki odpowiada
Ze ściśniętych pięści ojca: jestem!

Jeno z piersi męża, rozerwana
Zgrzebna, we krwi zmaczana koszula,
Głosem żony odpowiada: słyszę!

Tylko chmura śniegami wezbrana
Miękko, ciepło osuwa się w ciszę:
Nad nagością trupów się rozczula.

Wtém w oddali warknął strzał po polu,
Spłoszył kruki łakome przy mięsie
Ziemia walki przeczuciem się trudzi.

Szary ranek wilgotny się budzi,
Z ciężkich powiek mgły na ziemię trzęsie
I drżąc cały spoziéra po polu.

II.

We wsi cicho,... pospali się ludzie,
W jednéj chacie tylko tli łuczywo,
Snać tam jeszcze nie ustali w trudzie.

Po przez szybki drobne, przy kominie
Gospodynię widać urodziwą,
Jak podaje twardą pierś dziecinie;

Chłop sławiański, z włosem aż na szyi
Ciężką ręką obrabia płużycę,
O! pomocy nie trza nam niczyjéj;

Toporzyskiem trząsa w górze lekko
I radością promieni mu lice,
Że da żonie chléb a dziecku mléko.

Wtém broń szczękła, ktoś po śniegu chrzęści,
Ktoś do chaty stuka; — kmieć wychodzi,
Wraca — papier ma w ściśniętéj pięści...

Podniósł mściwe toporzysko w górę,
Żar mu ciemny po licach przechodzi
Żonie słowa wyszeptał ponure...

I usiedli przy stole oboje
I wlepili, każde w straszną kartę,
Osłupiałych, łzawych oczu dwoje!

Na kominie ogień się nie szerzy,
Ze wsi do nich przez drzwi półotwarte
Dochodziło stukanie żołnierzy.

A w kołysce dziecię się zbudziło
I zajękło takim starym płaczem
Że aż strasznie je usłyszeć było, —

Że aż pyski obróciwszy w pole
Niewiadomo do czego czy za czém
Wyć zaczęły wszystkie psy po siole.

Poznań, dnia 12 stycznia 1871.

Władysław Ordon.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Karnawał rozpoczął się już na dobre. Gdzieindziéj szaleją, odkryte i zamaskowane twarze, szumi i pieni się głęboka czara wesela, rozchasane dźwięki walców i mazurów napełniają powietrze, — u nas głęboka, postna cisza. I nie dziw! kuszonym przez żądzę zabawy, rysują się ciemne sylwetki braci na dalekim śniegu do balowéj atmosfery przymięszałaby się złowieszcza woń prochu... To téż w smutném i trwożném oczekiwaniu kupimy się na sali Bazarowéj, gdzie giętka Terpsychora miejsca Minerwie ustępuje. Rozpisano i ogłoszono porządek odczytów, które rozpoczął, wiernie przewodzący każdéj użytecznéj robocie Dr. Karol Libelt. Dnia 13 bm. w Piątek zebrana publiczność, z wyraźną przewagą płci pięknéj, wysłuchała pełnego erudycji odczytu „O kanale Suezkim i jego cywilizacyjném znaczeniu."

Czcigodny prelegent wypowiedziawszy na wstępie, jako wyznawca zasad demokratycznych, zadowolnienie z odczytów popularnych, które rozpoczyna, zarysował ogólnie historję kanalizacji Egiptu od prób Faraonów aż do planu Leibnitza i Saint-Simonistów. W zwięzłém i pełném siły streszczeniu przedstawił obraz wysiłków i starań Lessepsa przy wprowadzeniu w życie olbrzymiego pomysłu, i uwydatnił postać znakomitego męża, krótką jego biografją; — następnie z jasnością i techniczną znajomością opowiedział wykonanie wielkiego dzieła — walki jakie z zawiścią Anglików i interesami postronnemi kompanja przebywała, ofiary z jéj strony, i wreszcie zwycięzkie spełnienie celu. Tu szeroko i gruntownie rozebrał korzyści merkantylne i cywilizacyjne dla samego Egiptu, łatwy dowóz wody słodkiéj, z któréj braku tak okrutnie niegdyś mieszkańcy cierpieli, wzrost miast, — którego pierwszym objawem jest już kwitnąca Izmailia, odrodzenie się ze stanu martwoty téj pięknéj nadnilowéj krainy. — Zakończył rzutnym poglądem na przyszłe usługi kanału dla cywilizacji. Kanał Suezki wywoła Panamski. Egipt będzie stacją dla cywilizacji zachodu przenikającéj w głąb ciemnie Afryki, którą obudzi do życia, — a wywoławszy tam przewrot w pojęciach religijnych i społecznych, sfederowawszy ludy, podniesie wreszcie Australję, najmłodszą z części świata do merkantylnego i politycznego bytu.— Odczyty te są może jaskółką większego ruchu w naszém mieście. Dowiadujemy się, iż p. Stysiński, znany i ulubiony baryton, na dłuższy zapewnie pobyt do miasta naszego przybywa. Witamy go serdecznie a podziękujemy mu z większą gorącością jeszcze, jeżeli wkrótce obdaruje nas koncertem. Może stłumiona poezja i muzyka w stolicy Wielkopolskiéj odkrzykną się na jego wezwanie. Dalibóg, byłoby to pół cudu. Nie jestem melomanem i wyznaję najgłębszą nienawiść do melodji kocującéj w postaci katarynek na wozach lub pieszo, cytr, ślepych skrzypków — podeszłych śpiewaczek i cudownych dzieci, gotówbym uciec na koniec świata przed grającemi tabakierkami i naszą orkiestrą teatralną, — ale takiéj posuchy muzykalnéj jak w Poznaniu — nigdzie nie napotkałem. Może cudne akordy odbijają się o ściany mieszkań prywatnych — do spragnionego ucha kronikarza w jego wędrówkach ani jedna uboga nutka nie doleci. Kto temu winien? Gdzie się obrócisz słychać wielkie słowo: Wyjątkowa epoka. Czekajmy aż przeminie!...

Na prowincjach lepiéj. Gniezno z łaski p. Stysińskiego poruszyło się koncertem. Publiczność dopisała. Koncertant, jak nam donosi korespondent, odśpiewał arję z Lukrecji Borgia, Żal dziewczyny, Moniuszki, „Héj koniu mój wrony," słowa Grozy, muzyką Borozdina, cudną i bardzo mało znaną piosenkę. Udział w tryumfie tym wziął także znany u nas, obecnie bawiący w Gnieźnie, pan Noskowski, przez którego odśpiewanie „Pierścień" Chopina i „Stary kapral" Moniuszki zaszczytnie przyjęto. Nie zawiodły i siły miejscowe. Syndyk kapituły p. Klepaczewski pięknie wykonał na skrzypcach kołysankę i Mazura swojego utworu nakoniec p. Ćwikliński, mimo że dosyć słabo akompanjował, z precyzją i siłą odegrał „Galopp chromatique" Liszta. —

Za to ze świata do naszego zakątka coraz częściéj dochodzą wieści o otwierających się nowych mogiłach ludzi talentu i zasługi. Trzy z takich przychodzi nam zaznaczyć w niniejszéj kronice.

Karol Władysław Zap, wielkiéj działalności pisarz czeski, urodzony 8 stycznia 1812 r. w Pradze umarł 1 bm. Studja odbywał w miejscowéj szkole pijarów, w towarzystwie najcelniejszych obecnie pisarzy, następnie na wydziale filozoficznym i prawnym. — Przeniosłszy się do naszéj ojczyzny, jako adjunkt izby obrachunkowéj we Lwowie, mieszkał tam przez półdziewięta roku, w którym to czasie, zapoznawszy się bliżéj z literaturą polską, oprócz wielu prac drobniejszy, przetłomaczył na Czeski „Koliszczyznę i Stepy Grabowskiego (Praga 1851)... Żona jego, Polka, Honorata z Wiśniewskich, w przybranéj swojéj ojczyznie, sławę literacką sobie zjedniała. Jako autor Geografji powszechnéj, Kroniki Czesko-Morawskiéj, dzieła olbrzymiego i jako redaktor prac, wydawanych w „Muzeum czeskiém" Zap wielkie zasługi położył...

Drugą równie ciężką dla naszych pobratymców stratą jest śmierć znamienitego malarza Swobody, którego obszerniejszą biografję, „Tygodnik" przygotowuje...

Nas nie mniéj dotyka wiadomość o przedwczesnym zgonie Stanisława Dunieckiego, rodem z Krakowa, obiecującego wielce muzyka, autora „Paziów królowéj Marysieńki", „Pokusy" i wielu innych operetek; zmarł podobno w Wenecji na chorobę piersiową mając lat ledwo trzydzieści i dwa.

Z dziedziny śmierci przejdźmy znowu do życia i jego objawów. Wydawnictwo książkowe spoczywa. Z téj strony głucha cisza. Mamy do zanotowania zanotowania zaledwie: wkrótce wyjść mające poezje „Bełzy" i zapowiedziany programem: „Teatr amatorski" przez p. Roger, dziełko podręczne dla amatorów. Za to teatr zaznaczywszy uroczystością 14 bm. roczną stację wytrwałego pochodu skupia na nowo siły i patrząc ku stronie komitetu, tęsknie zapytuje „Anne, ma soeur, ne vois tu rien venir?

* * *

Dnia 12 bm. na sali Bazarowéj, odbyło się walne zebranie Towarzystwa Przyjaciół Nauk. W gronie licznie branych członków i wielu osób z miasta zagaił Dr. Karol Libelt posiedzenie, na którém przewodniczył p. Buchowiecki z Pomarzanek. W treściwym i pięknym obrazie skréślił czcigodny sprawozdawca przebieg prac Towarzystwa, od ostatniego walnego zebrania. Następnie, wedle porządku dziennego, przyszły na stół kwestje pobieżne w części administracyjnéj, pomiędzy innemi sprawa przyszłego lokalu Towarzystwa, która pozostała nierozstrzygniętą — potém rzecz o uczczeniu Kopernika i gorąco traktowana kwestja pisowni, przez właściwy komitet. Zakończyło zebranie przyjęcie czterech nowo wstępujących członków i wzruszający epizod na skutek wniosku szanownego wice-prezesa Stanisława Koźmiana. Chodziło o zakupienie portretu Dr. Karola

Libelta, który wykonał pędzel Maleszewskiego, na rzecz zbiorów Towarzystwa. Pan Stanisław Koźmian powstawszy, głęboko wzruszonym głosem, porywającemi słowy motywując swój wniosek, dowiódł, że różność zdań polityczna i religijna nie zawadza w sercach szlachetnych uznaniu i czci dla zasług przeciwnika. Zebranie zawotowało jednogłośnie nabycie portretu z dobrowolnych składek. W.

Korespondencje: Z Krakowa. Z ziemi Warmińskiéj.

Kraków, 8 stycznia.

Choćby kto zgubił rachubę czasu, zarzucił kalendarz, to mu nowy rok przypomną prospekta różnych czasopism nadsyłane z dziennikami. Warszawskie illustrowane pisma: „Tygodnik i Kłosy", jak to mówią, z przed nosa zabierają prenumeratorów pismom tego rodzaju z Galicji i Poznańskiego, trudna bowiem z niemi rywalizacja. W cenach niewielka, a co do illustracji niesłychana różnica między pismami z za i z przed kordonu moskiewskiego. Kraków nie może się zdobyć na pismo illustrowane, odpowiadające artystycznym wymaganiom, chociaż posiada najznakomitszych rysowników. Na to trzeba dużego nakładu, lichemi drzeworytami, nędznemi odbitkami z innych pism, trudno długo karmić abonentów, bo plewy życia nie dają.

Listowi u nas teraz w obrotach, karnawał daje im się we znaki, gdyż przychodzi im roznieść, prócz zwykłéj ilości listów po różnych wysokościach i zakątkach miasta, kilkanaście tysięcy zaproszeń na bale, — i to w porze zimowéj przy krótkich dniach. Wedle nowoczesnéj mody bal winien mieć cel dobroczynny, zatém każdy nosi tytuł odmienny. Jak dotąd, zapowiedzianych jest cztery, na rzecz rzemieślników, na techników, na akademików i na sybiraków; a że chcąc w nich wziąć udział trzeba się wykazać zaproszeniem, więc każdy komitet, zarządzający balem, rozsyła pocztą wielką liczbę kart zapraszających, aby z tych choć część dopisała. Można sobie zatém wystawić położenie listowych w czasie téj powodzi pocztowéj!

Karnawał oprócz strat materjalnych pociąga za sobą także moralne, bo w owym czasie szału, choćby położenie nasze temu stanowi wcale nie sprzyjało, wszelkie sprawy poważne ustępują z drogi. Słusznie któryś poseł turecki, co przez czas pewien bawił w Polsce, opowiadał sułtanowi, że na Polaków w zimie przychodzi napad szaleństwa, z którego leczy ich dopiéro ksiądz, posypujący im głowy popiołem.

Nie ma tego złego, powiadają, coby na dobre nie wyszło; sprawdziło się to w tych czasach na teatrze krakowskim. Po ubyciu pierwszych ozdób sceny, zobojętniała publiczność dla teatru; dla przynęty, z potrzeby — przypomniał sobie dyrektor, że Krakowianie lubią bardzo operę, ale jak się zdaje, rzecz to nad siły dyrekcji, więc skończyło się na operetce. Dobre i to, gdy czego innego niema, a korzyść wielka dla narodowéj muzyki, bo młodym wirtuozom otwiera się pole do popisu. Niespodzianką dla nas stała się operetka p. Kaźmierza Hofmana pod tytułem: „Żaki," która wielkiego doznała powodzenia, ilekroć grana, ściąga publiczność tłumnie do teatru. Znawcy wysoko oceniają wartość artystyczną téj kompozycji, nam zaś profanom, co się na tajnikach sztuki nie rozumiemy podobają się piosnki bogate w melodję, muzyka pełna życia, a przytém libretto p. Anczyca, bardzo w dowcip obfite.

Przedstawienie Żaków, jak na siły krakowskiego teatru wypadło nadspodziewanie pomyślnie. Bohatera operetki, bakałarza, z wielką prawdą odgrywa p. Zamojski. Artysta ten młody, z początku swego zawodu, nie zapowiadał wielkiego talentu, jakiego daje obecnie dowody. Specjalnie poświęcił się rolom komika, ponieważ zaś posiada i pewien zapas głosu do śpiewu, tém więcéj scena krakowska ma z niego korzyści. Zamojski stanie się z czasem ulubieńcem publiczności krakowskiéj jak ongi p. Henig, którego do Was okoliczności zaprowadziły. W Żakach odznacza się śpiewem p. Ćwiklińska, która z amatorki stała się śpiawaczką teatru krakowskiego. Pani Borkowska, zwłaszcza w duecie z bakałarzem, gdy mu się jako szatan okazuje, z wielkiém życiem gra i śpiewa. Chóry dobrze obsadzone, godnie całości odpowiadają, a o muzyce wojskowéj zbyteczna dodawać, że się znamienicie z zadania wywiązuje, jak zazwyczaj. Przypomniała sobie dyrekcja teatru także o innéj polskiéj operetce: o Paziach królowéj Marysieńki, w których śliczna muzyka Stanisława Dunieckiego nie tylko u nas, ale i po wielkich teatrach w innych miastach zyskała uznanie. Przedstawienie na naszéj scenie wskrzeszonéj operetki powiodło się dobrze ku zadowolnieniu zgromadzonéj publiczności.

Duch spekulacyjny ogarnął dyrekcję Towarzystwa Sztuk pięknych w Krakowie, a nader ciekawe to stowarzyszenie w Europie pod względem swego ustroju. Członkowie towarzystwa, na których spoczywa byt jego, niemają żadnego udziału ani nawet wpływu na zarząd swoich funduszów, podlegają dyrekcji z Bożéj łaski; ztąd można wnioskować, jak błogie następstwa z takiego rządu wynikają. Dyrekcja nawet absolutnego statutu, jakim się cieszy od swego zawiązania przed 18 laty, nie dopełnia. Otóż gdy się owa z Bożéj łaski dyrekcja, w rok po nabyciu Lituanji Grottgera namyśliła wydać album fotografji tych arcydzieł sztuki, nikt nie sądził aby towarzystwo, mające na celu podniesienie sztuki, a tém samém rozszerzanie jak najrozleglejsze płodów sztuki narodowéj, czyniło spekulację z pracy zgasłego artysty. Najznakomitszy fotograf w Krakowie, p. Walery Rzewuski, powodowany właśnie uczciwą myślą, aby albumy Lituanji uczynić dla każdego przystępnemi, podał ceny zaledwie koszta pokrywające tj. za fotografje w wielkim fomacie po 50 cent. a za wizytowéj wielkości fotografję 12 centów, coby uczyniło 3 gld. za wielkie album, a 72 centy za małe. Pomimo to nie powierzono mu téj pracy, zapewne dla niższych jeszcze cen p. An. Szuberta. Któż mógł przypuszczać, aby dyrekcja cenę albumu wielkiego podniosła do 10 gld. a małego do 2 gld. A chociaż uchwalono siostrze zmarłego artysty przez lat trzy udzielać czwartą część zysku to i tak rozprzedaż Lituanji w fotografjach zwać się będzie bądź co bądź spekulacją.

Z złośliwą ironją powitał tutejszy dziennik Kraj Waszego Tygodnika Wielkopolskiego; nic to dziwnego, bo redakcja Kraju trzyma się ściśle zasady „osobistość przedewszystkiém." Sąd wydaje dziennik ten wedle sympatji lub antypatji do osoby. Z tąd to pochodzi owa niesforność w obozie postępowym na pociechę obozu przeciwników.

„Kraj" mieni się organem obozu postępowego, — cel szlachetny ale on tylko szyldem dla Kraju, po za nim kryje się osobisty interes. Co za znaczenie miało złośliwe zaczepianie numeru wstępnego Tygodnika Wielkopolskiego w szpalcie dziennika poświęconéj wyłącznie wykazowi treści pism perjodycznych? Niechaj redakcja wprzód u siebie porządek zrobi, pisownią polską zaprowadzi (bo jak dotąd Kraj ma swój język — zbieraninę słów z polskiemi końcówkami) niechaj się postara o korespondentów z Wiednia, gdzie się kują, naj-

bliżéj naszéj prowincji dotyczące sprawy, o których nic nam szanowni korespondenci nie donoszą, gdyż im tylko znane dzieje stowarzyszenia wiedeńskiego: Ogniska, a zresztą nadsyłają ckliwe rozprawy o polityce, o któréj już wróble po dachach świergocą.

Krakowskie humorystyczne czasopismo „Djabeł“ umiało sobie samodzielnością wyrobić stanowisko daleko większe, niżby mógł kto sądzić. Djabeł w wielu sprawach staje się wyrocznią i coraz rzadziéj pojawiają się w nim niesłuszne zaczepki, co podobno zawdzięcza się głównemu redaktorowi p. Kleczewskiemu. Czasem jeszcze ulega krakowskim współpracownikom, którzy z natury swojéj nie zdolni są poskramiać osobistych uraz. Illustracje Djabła, odznaczające się dobrym pomysłem i rysunkiem, wielką są dla czytelników przynętą.

W poprzedniéj korespondencji donosiłem o postąpieniu sobie rady szkolnéj z szkołą żeńską u św. Jana w Krakowie. Na mocy uchwały najwyższéj krajowéj władzy szkolnéj miał instytut ten wrócić do dawnéj świetności, po oswobodzeniu go z pęt wstecznego stronnictwa, lecz niestety dotychczas uchwała powyższa jest martwą literą. Dawną prefektę p. Bogumiłę Römer, trzymają dotąd na uwięzi, nie dopuszczają styczności z rodzinami uczennic i system nauk niezmieniony. Zasadza się on na nauce gramatyki i kaligrafji, historję zaś i nauki przyrodnicze ignorują tu zupełnie. Radykaliści cieszą się z tego, gdyż opór klasztoru władzy szkolnéj sprowadzi zagrożoną już separację szkoły, odebranie funduszów klasztorowi, aby niemi zakład publiczny, odpowiedni dzisiejszym wymaganiom, utrzymać.

Muzeum polskie w Szwajcarji, w Rapperswyl niesłychanemu poświęceniu hr. Wł. Platera zawdzięczające swoje istnienie, bogaci się bardzo powoli nabytkami, a obojętnością, jak zwykle, dla każdéj publicznéj sprawy odznacza się Galicja, a szczególniéj Kraków. Przecież to, co tam zgromadzimy jest i będzie nasze, wróg nam tego nie wydrze, a dobrze że na wolnéj ziemi Helwetów stoi żywy dowód naszéj cywilizacji, postępu w naukach i sztukach.

O ile mi wiadomo z Krakowa dla muzeum w Rapperswyl nadesłał w darze obraz jedynie Walery Eljasz, a sekretarz Tow. Szt. P. wszystkie ryciny znane jako premje dla członków. Zaprawdę zamało tego na Kraków. Jestto raczéj opieszałość, niżli skąpstwo, a zaradziłoby się temu, gdyby się kto tu zajął zbieraniem darów, o czém podobno już we Lwowie pomyślano; złożone jest w rządzie podanie o pozwolenie urządzenia ajencji w tym celu.

Z innych artystów polskich obdarzyli muzeum w Rapperswyl swemi utworami: Henryk Rodakowski z Galicji, Leopold Löffler z Wiednia i K. Brodzki z Rzymu.

Przeraził miasto nasze smutny wypadek, jaki dotknął zasłużonego literaturze polskiéj męża, Dr. Ludwika Zejsznera. Mieszkał samotnie (nieżonaty), a dnia 2go stycznia nowo przyjęty przez niego lokaj, znajomy mu jeszcze z Warszawy, objął służbę przed wieczorem, na drugi zaś dzień zamknąwszy na klucz drzwi od mieszkania, zniknął bez wieści. Gdy się nikt ztamtąd nie pokazywał przez całe rano i południe, dano znać do policji. Dobiwszy się do mieszkania Dr. Zejsznera, znaleziono ciało jego przykryte w łóżku. Jak się pokazało, były to już zwłoki zamordowanego przez uduszenie; koło szyi miał okręcony powrózek, którym był przywiązany do nogi od łóżka; na sprzętach zaś spostrzeżono ślady rabunku. Podobno dn. 6 stycznia ujęto już sprawcę w osobie owego służącego.

Dorożkarz był kłębkiem, po którym wytropiono mordercę. Zowie on się Józef Bachowski, wysłużony wojskowy austryjacki, rodem z Alwernji. Po spełnieniu czynu, rano udał się na dworzec kolei w Krakowie, ale pociąg pożądany, szląsko-warszawski, już odszedł. Najął więc dorożkę, która go zawiozła do Zabierzowa, pierwszéj stacji kolei za Krakowem, następnie udał się do Rudawy, gdzie najął konie u wieśniaka dla dostania się do Chrzanowa. Dorożkarz opisał, kogo wiózł, dodając, że ów poszukiwany miał twarz podrapaną; może męczony Zejszner bronił się napastnikowi.

W Chrzanowie, u krewnego, przebrał się Bachowski w suknie zrabowane, zostawiwszy swoje własne pokrwawione i we futrze z zawiniątkiem puścił się przez Jaworzno do Szląska. Ajent krakowskiéj policji śledził go trop w trop, aż go, jak słyszałem, podobno w Pleszewie uchwycił i tu przywiózł.

Dr. Ludwik Zejszner liczył lat 66. Żyjąc oszczędnie, przy znacznych dochodach, uzbierał majątek, i za zamożnego uważany, ściągnął na siebie łakomstwo zbrodniarza. Zmarły był profesorem mineralogji na uniwersytecie Jagielońskim, potém dyrektorem górnictwa w rzeczypospolitéj Krakowskiéj, następnie wykładał mineralogję na uniwersytecie warszawskim, w końcu został urzędnikiem wydziału spraw wewnętrznych w Warszawie. Przed pół rokiem wrócił do Krakowa, gdzie go śmierć z morderczéj ręki spotkała.

Z ziemi Warmińskiéj.

Zaszczycony wezwaniem do współpracownictwa, zabieram się do pióra, by dać Wam dowód nie — zdolności pisarskich, bo tych nie posiadam, lecz dobrych chęci. A tych potrzeba wam wiele...

Otóż i wstęp, który mimowolnie prawie wcisnął mi się pod pióro.

A teraz, przechodząc do przedmiotów, jakie na dziś do korespondencji sobie zanotowałem, przestrzedz winienem łaskawych czytelników i łaskawe czytelniczki, aby po korespondencie z klasycznéj ziemi Koperników, Kromerów, Treterów, Hozjuszów, Krasickich nie spodziewali się, że pisać będzie wiele pięknego o rzeczach swojskich. O, nie! minęły czasy, w których na stolicy biskupiéj warmińskiéj zasiadali polscy książęta kościoła, — dziś tylko imiona ich w pewnéj części otoczone blaskiem nieśmiertelnéj sławy; minęły czasy, w których przemożne wpływy Almae Cracoviensis rozciągały się po nad bursztynowe Bałtyku brzegi, — dziś polscy studenci w Lyceum Hosianum od niemieckich kolegów słyszą Potapowskie zakazy używania ojczystego języka! a krakowskich wpływów resztki ograniczają się na uznanych jako najpiękniejsze melodjach hymnów łacińskich w kościele. Smutno tu, smutno, bracia nad Bałtykiem!.. A propos Lyceum Hosianum, dodać tu winienem, że instytucja ta, nazwana tak na cześć sławnego kardynała naszego i prezesa Soboru Trydenckiego Stanisława Hozjusza, dziś chyli się ku upadkowi w skutek oporu, jaki stawiają profesorowie dogmatowi nieomylności papieskiéj.

Przed niedawnym czasem byłem w Królewcu, gdzie miałem sposobność oglądania stereochromicznych obrazów al fresco w wielkiéj auli nowego, okazałego gmachu uniwersyteckiego. Trzy obrazy na lewéj od wchodu ścianie przedstawiające w sposób alegoryczny Historję, Filozofję i Matematykę, są wykonane przez p. Piotrowskiego, ziomka naszego; dodaję umyślnie „ziomka naszego“, bo wielu tu jest takich, co z polskości zachowali samo tylko nazwisko, częstokroć jeszcze szkaradnie wykoszlawione. Nie podejmując się ocenienia pracy p. Piotrowskiego, wspomnę tylko, iż miejscowi znawcy chlubne rodakowi naszemu wystawiają świadectwo. Co do układu obrazów przedstawia Historję Herodot, czytający swe Muzy przed zgromadzonymi na uroczystości olimpijskie Grekami; Filozofję reprezentuje ów filozof-moralista, który filozofję z nieba na ziemię sprowadził, ów prawdziwy Prometeusz, który pierwszy

przywłaszczył sobie i ludzkości iskierkę światła niebiańskiego i za to męczeńską spełnił czarę — Sokrates, otoczony ciżbą uczniów i w ostatnich chwilach życia pouczający ich o nieśmiertelności duszy; Matematykę wreszcie przedstawia Archimedes, kreślący na piasku figury swe w chwili, gdy wpada doń żołdak z gołym mieczem, by zadać mu cios śmiertelny, a on zatopiony w myśleniu, nie spostrzegając wcale niebezpieczeństwa, lewicą zagradza mu drogę: „Noli turbare circulos meos.“ — O ile mi wiadomo, p. Piotrowski u rodaków mało jest znany. — Jako curiosum dodam tu, że pierwszy dziennik królewiecki nazywa obrazy te stereochronicznemi.

Przy téjże sposobności oglądałem baraki, wystawione w pruski mur na oparkanioném wysoko miejscu dla internowanych tu jeńców francuskich. Baraki te tworzą poniekąd małe miasto o dwóch głównych i kilku pobocznych ulicach. Dowcipni Francuzi rozmaite ulicom tym ponadawali nazwy, z których najcharakterystyczniejszą jest nazwa: „Rue á bas Bazaine.“

Ad vocem Bazaine przytoczyć tu muszę wyimek z odebranego w tych dniach listu; treść bowiem jego również nadzwyczaj jest charakterystyczną. Dziwna rzecz! pisze mi ktoś z Poznańskiego, — wedle twierdzenia marszałka pruskiéj izby panów, Pan Bóg „przyznał“ się do Niemców, według opowiadania mego towarzysza podróży (z Kongresówki) Moskale przyznawali się, dopóki jeszcze uchodził za bohatera, do — Bazaine'a. Sprawa ma się pokrótce następnie. Niejaki Bazaine przed tylu a tylu laty był posłem francuskim w Petersburgu. Pewnego ślicznego poranku znajduje on przed swemi drzwiami jakieś podrzucone dziecko, które, ponieważ był to ładny chłopczyna, on zaś bezdzietny, przyjął za swoje. Lubo więc dzisiejszy Bazaine francuskie nosi nazwisko, jest przecież rodowitym Moskalem. Tak było aż do kapitulacji Metzu. Po tym bohaterskim czynie nawet Moskale nie chcą uznawać w Bazainie moskiewskiego podrzutka! „Ten durak, to chyba czorci syn, ale nie Moskal.“

J. Gl...

Przegląd literacki.

Ułomności nasze narodowe i społeczne, oraz środki ku sprostowaniu tychże przez Maksymiljana Jackowskiego.

W tych dniach opuściła prasę książka, pod powyższym tytułem; przeczytaliśmy ją uważnie, i wyznajemy, że dawno nie mieliśmy przyjemności spotkania się z tak poczciwie napisaną pracą, z tak wyborném, że tak powiem, kazaniem narodowém, co nas zachęca do obszerniejszego rozpatrzenia dzieła p. Jackowskiego.

Gorąca miłość ku Ojczyznie, ku rzeczom ojczystym, i ku braci swéj, silna wiara w siły własne i pewna nadzieja lepszéj przyszłości, dodały autorowi odwagi cywilnéj, że stanął imiennie w obec narodu, w obec ziomków, jako oskarzyciel wad i ułomności narodowych, z tą tylko różnicą, że stanął nie w roli szyderczego Chama, ale jako pobożny Jafet okrywający nagość Rodzica.

Na początku swéj pracy wspomina autor o niedawno wydanéj przez siebie książeczce pod tytułem: Rzut oka na nasze zasady, sprawy i potrzeby — w któréj wskazał organizację jako środek zaradczy ze wszystkiemi warunkami, służącemi do wzmocnienia i wprowadzenia w regularny ruch ułomnego a skołatanego ustroju społeczeństwa naszego. Wiejący w téj książeczce duch obawy jakiegoś teroryzmu rewolucyjnego, którego autor tam szukał, gdzie go nie było, odstręczał nas od tego pisemka, dziś przekonywamy się, że i tam były arcy poczciwe, arcy narodowe myśli, które w rozbieraném obecnie dziele obszerniéj wyłożone zostały.

Do pierwszéj ułomności narodowéj (zwracam uwagę że autor ma tu na myśli tylko Wielk. Ks. Poznańskie) zalicza brak wytrwałości w popieraniu praw języka polskiego. — Delikatna to i śliska materja, aby nad nią obszerniéj i wyraźniéj zastanawiać się można, to téż i autor kwestję tę, któréj wadliwość nie w narodzie leży, zbył dwoma tylko kartkami, co gorsza, nie podał stanowczych środków, jakby temu złemu zaradzić. My autorowi powiemy, że kiedy taka dola padła na nas, to „trudno jest wierzgać przeciw ościeniowi“ i dodamy, że w téj sprawie zrobiono już wiele, bardzo wiele — praca gruntowna p. Bentkowskiego „Sprawa polszczyzny“, publiczne mowy, jakie miewali na sejmach w sprawie języka polskiego szanowni posłowie Kantak, Libelt, Niegolewski, urzędowe wreszcie, że tak powiem, dzieło „Zbiór praw tyczących się narodowości polskiéj i języka polskiego w Wielk. Księstwie Poznańskiém“ przekonywają mnie, że sprawa ta nie jest zaspana — i gdyby nie paraliżowanie renegatów, wielkie byłaby wydała owoce. Jak daléj iść tą drogą, nie mnie radzić, ale ze łzami wołać o przechowanie języka w domowych kółkach — w ojczystéj zagrodzie, w domu własnym, pielęgnowanie tego Żnicza w rodzinie polskiéj zbiorowo, i w każdéj pojedynczo familji — to mój i każdego Polaka istny obowiązek.

Nad namiętną skłonnością naszą ku obczyźnie pozwolimy sobie zrobić wielki znak zapytania i stanowczo orzec, że właśnie teraz przemija ten czas, że nie nowości z zagranicy w zachwycenie nas wprawiają, ale nad naszemi, gdy dobre, entuzjazmujemy się radośnie — i czujemy w własném zadowolnieniu prawdziwą pociechę. Dowodów na to wiele, że raz przecie wyleczyliśmy się z zapału ku robotom obczyzny, a ukochaliśmy swoje rodzime — małe wyjątki pasożytów giną w zdrowéj ogólnéj myśli.

Narysowany obrazek systemu pańszczyznianego, któremu oddawna z radością niemałą zaśpiewaliśmy wieczne „requiem“, do teraźniejszych ułomności wcale nie należy — więc po co szkicować tak bolesne wspomnienia z minionéj bezpowrotnie przeszłości?

Historja wychowania publicznego w szkołach, którą p. Jackowski streścił namiętnie, w dość jaskrawych kolorach — nie ta, jaka dziś — ale jaka była w Polsce od X wieku zacząwszy „aż do ujarzmienia ojczyzny naszéj“ (str. 54) znana jest nam bardzo dobrze — i to podług krytyk obu obozów, tu na obronę dodamy to tylko, że taką liczbą uczonych, ilu miała Polska za obu Zygmuntów i Batorego — jednocześnie żaden naród w Europie pochlubić się nie mógł, a ta Alma nostra, akademja krakowska, w zenicie chwały swojéj za Stefana Batorego cztery tysiące liczyła słuchaczów! ta historja o wychowaniu publiczném potrzebna była autorowi do wykazania innéj ułomności narodowéj, a tą jest brak wytrwałości czy téż oziębłość w dopominaniu się o wykład szkolny w języku ojczystym. — Prosimy o rady i środki stanowcze a skuteczne, a wtedy zaręczyć możemy, że i jeden się nie znajdzie, któryby wzgardził niemi.

To wszystko, co nam streszcza autor o pracy rolniczéj (str. 56) a co dotyczy zwłaszcza teraźniejszości, jakkolwiek przedstawione tu są niektóre tylko odcienia, jak się wyraża p. Jackowski „grubsze i delikatniejsze“ (str. 67), których przedstawiciele tak twardym odziali się pancerzem obojętności, że żadne argumenta przebić

się do nich nie zdołają — scharakteryzowane są tak, że nie pozostawiają nic do życzenia.

Poprawa z tych ułomności, w których każdy jak w zwierciadle przejrzeć się a obaczyć winien, możliwą jest, konieczną, arcy potrzebną, jeżeli nie chcemy zabić w sobie ostatniéj tlejącéj iskierki ducha narodowego.

Idzie potém autor w logicznym porządku do wychowania domowego, i zaczyna od przedstawienia rozpaczliwego obrazu wychowania domowego w stanie włościańskim, prawda, z niemałą to wyznajemy żałością, że ten obraz smutny jest dotąd, ale tak rozpaczliwy, jak go nam maluje autor — jeszcze nie jest dzięki Bogu, jeszcze nie ma i nie będzie tak wyrodnéj matki i najuboższéj i najnieoświeceńszéj włościanki wyrobnicy, któraby dziecka swego nie uczyła pacierza! — W grubéj jeszcze ciemnocie pogrążony ten biedny ludek nasz, to prawda jest wielka, atoli z pociechą widzimy, iż obecnie żarzy się iskierka ducha ludzi dobréj woli, którzy ochoczo krzątają się około oświecenia ludu naszego, którzy troszczą się o polepszenie losu jego; w pracy téj, jeśli kiedy, to dziś ustać nie można, ale z całą siłą i potęgą, z całą wytrwałością i poświęceniem pracować, a nie ustawać należy.

O ułomnościach w wychowaniu domowém w stanie mieszczańskim, za mało powiedział autor, a ani jednego nie wskazał środka, którymby zwalczyć można to wadliwe wychowanie domowe ludu mieszczańskiego, które tak potężnie oddziaływa na ludzie wiejskim. — Towarzystwa czeladzi rzemieślniczéj, szkółki niedzielne i wieczorne, ochronki i domy pracy — oto co wzmacniać, podtrzymywać, wprowadzać w życie nieuchronnie potrzeba.

Nad wadliwém wychowaniem domowém w klasie wyższéj, oświeceńszéj, tak zwanéj obywatelskiéj — rozwiódł się autor bardzo obszernie — pół książki na ten ważny poświęcił przedmiot i jękiem duszy najszczerszą wypisał prawdę. — Zanim przytoczymy kilka cenniejszych miejsc z rozbieranego przedmiotu, ośmielamy się odezwać pokornemi a szczeremi słowy: Ojcowie i matki — jeśli wam miłe szczęście wasze i dzieci waszych — weźcie w rękę tę książkę i odczytajcie uważnie — bo co tam napisane, to ku waszéj nauce, która obfite przyniesie owoce, napisane jest!

Mówiąc o wychowaniu obcém, cudzoziemskiém, kosmopolityczném, tak się odzywa szanowny autor: „Opierając sąd na przebiegu dziejowym i na jego wypadkach, śmiało twierdzić możemy, że — gdyby cały naród dał się był porwać wirowi zasad, w jakim się pewna część społeczeństwa naszego obracała i dotąd obraca, — bylibyśmy się już rozpłynęli w obcych narodowościach, a że tak się nie stało, to mamy tylko do zawdzięczenia liczniejszéj części narodu, która szanując tradycje historyczne, dawała swym pokoleniom wychowanie narodowe“ (str. 88). A potém kiedy daléj mówi autor, jakie to następstwa złego przykładu z góry, — poetycznie temi wyraża się słowy: „Jak oderwany z góry odłam lodu, tocząc się z wysokości, przybiera coraz większe rozmiary i tworzy ostatecznie olbrzymią lawinę, która swemi zaspami przygniata pracowitych mieszkańców równin, tak też i zła zasada wychowania obcego, spuszczając się z góry w warstwy niższe, zaraża po drodze wszystko, co napotyka, niesie z sobą obyczaje i zwyczaje obce, któremi zarzuca i przydusza odwieczne swojskie“ (str. 107).

Rozebrawszy szczegółowo wszystkie wady i ułomności wychowania — wady i złe skłonności dzieci — zarodki cnót tlejące w gorących, niewinnych, niezepsutych sercach dzieci — środki i sposoby dobrego narodowego wychowania — serdecznemi słowy odzywa się do matek Polek. Z odezwy téj choć kilka zamieścimy ustępów. —

„Były epoki w przebiegu dziejowym, że cnoty wasze Polki Obywatelki! jak gwiazdy przyświecały narodowi, że przewodniczyły mu na polu walki, świetnym swym blaskiem wiodły, (tylko nie wiedły ale wiodły) do pełnych sławy zwycięztw, a powracającym bojownikom gotowały szczęście na łonie rodziny, one to wychowywały wiernych dla ojczyzny synów, i hart ich duszy w ogniu przedwiecznych prawd staliły. To też tak długo dopóki one jaśniały, była Polska potężną i niedostępną, dopiéro gdy naleciałe z zachodu chmury blask ich zaćmiły, wtenczas na prawych synach i obrońcach kraju zbywać zaczęło…

I daléj znowu odzywa się, mówiąc: „Matki obywatelki, apeluję do staropolskich cnót, do gorących uczuć patrjotycznych waszych, komuż bowiem więcéj, niż wam leżeć może na sercu przyszłość rodziny, aby dziatki, to życie, te nadzieje wasze miały los zapewniony? kogoż więcéj, aniżeli was myśl ta przerażać może, że dzieci wasze i dalsze pokolenia, o których szczęściu we śnie i na jawie marzycie, zostaną tułaczami na własnéj ziemi i że będą musiały wysługiwać się obcym? w waszéj jest mocy zapewnić rodzinom istnienie i podnieść chylący się coraz niżéj naród; wypędźcie z domów waszych zbytek, wystawiajcie go dzieciom jako potwór, który pochłonął znaczną część ziemi naszéj, tysiącom rodzin wydarł mienie, spokój duszy, cześć…“ (str. 235).

Co się tyczy zbytku, któremu autor niejedną kartę książki swéj poświęcił — a o którym mówił niemało z powodu pewnego artykułu o zbytku, zamieszczonego w jedném z pism czasowych polskich, — dużoby mówić trzeba, czy istotnie zbytek ten z „koronkami i brylantami się wiąże“, czy też on i gdzieindziéj gości, to też wyznajemy, że nas bardziéj zastrasza ten, który jak zaraza szerzy się tam, gdzie niéma grosza do stracenia i najsmutniejsze sprowadza tam następstwa — więc i my powiedzmy tu słów kilka. Uczy nas bowiem historja, że gdziekolwiek wkradł się ten potwór, tam obyczaje wpłynęły na charaktery, i wielkie dusze znikły w miękkim uścisku wycieńczającego luxusu. Od spartańskiéj polewki, do lukullusowskiéj biesiady tak daleko, jak od obyczajów lacedemońskich do zniewieściałego domu Cezarów — ten stosunek wcale przypadkowym nie jest — w miarę potrzeb rosnących człowiek niewolnikiem się staje takowych, to też słusznie z Epiktetem powiedziećby tu można, że „nie my posiadamy rzeczy, ale one nas posiadły.“ Człowiek, który cierpieć nieumie, nic wielkiego dokonać nie zdoła, a kto zbytek umiłował i rozkoszuje w nim, ten zapewne nietylko cierpieć, ale nawet myśli cierpienia znosić się oduczył. Dla tego też wielkim charakterom, towarzyszyły zawsze surowe obyczaje i pogarda tego, co pieści, co osłabia, co przykuwa do ziemi. Ztąd też Plato, w organizowaném państwie swojém, lękał się muzyki nawet i poezji — a owego roztkliwionego serca, które do ofiar dla ogółu nie było zdolne, jak najmocniéj się obawiał. — Ale gdzież, spyta niejeden, owa granica zbytku? gdzie miara jego? Zbytek, jak wszystko na świecie względnym jest — to co dla jednego jest zbytkiem w całém znaczeniu, dla drugiego w pewien jeszcze sposób da się usprawiedliwić. Gdy ubogi ojciec rodziny zamiast zgłodniałym dzieciom kupić bułkę chleba — w karczmie ostatni grosz trwoni, słusznie możemy powiedzieć, iż zbytkuje — gdy bogaty zamiast uboższym braciom dać pomoc do ukształcenia się, tysiące marnotrawi na lukullusowską godzinę — rozpustuje tak samo, jak ów ubogi, trwoniący ostatni grosz w szynkowni.

Pomimo to, że zbytek jednego jest drugiemu zaledwo zaspokojeniem potrzeby, jest pewna granica absolutna, dzieląca zbytek od prawowitego użycia tego, co się trudem nabyło. — Jak za swój własny grosz, którym zupełne prawo rozporządzać mamy, nie godzi się sobie trucizny kupować, tak i moralnie gubić się uży-

ciem, a raczéj nadużyciem niewolno. Tam, gdzie zbytek demoralizuje — tam, gdzie przed szlachetnym celem zamyka ręce i szafę żelazną, jest już zgubny i występny.

Na zbytek potrzebny duszy, na dzieła sztuki i na zbiory ojczyste, nie powstajemy, bo to jedyny szlachetny i dozwolony — a nawet nie lękamy się tego duchowego zbytku, choćby u nas zagościł — owszém, powiada autor „powitalibyśmy go serdecznie, gdyby u nas chciał osieść“. — „Zbytku skłonności do dzieł sztuki, mówi daléj, nikt nam jeszcze nie zarzucał i nikomu téż do podobnego zarzutu nie daliśmy powodu. Jeżeli prawimy lub piszemy o zbytku, to o zbytku materjalnym, takim, jaki nas trapi, lecz nie o zbytku, podniosłości duchowéj, który do nas jeszcze nie zawitał, a któryby wielce był pożądany“ (str. 222). Zaiste, gdyby ten gość zasiadł w domach możnych — dostatnich rodem i majątkiem, wypędziłby z pewnością nie jedno marnotrawstwo z domu a grosz oszczędzony od zmarnowania bez żadnéj korzyści, poświęcony byłby — na rzecz, która ducha podnosi, siły umacnia, przeszłości chwile w żywém stawia świetle — gdyby było więcéj mecenasów sztuki i nauki rodziméj — wiele talentów swojskich ożyłoby i zabłysło na ziemi naszéj — gdyby było więcéj u nas panów — którzyby poświęcali pozostałe od wydatków dochody na rzeczy ojczyste — zaprawdę sami rozkoszując się w drogich zabytkach przeszłości nie pozwoliliby — tułać się na komorném przerzucanym z kąta w kąt szacownym i cennym zabytkom, Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu! Na taki zbytek grosz wydany byłby chlubą niesłychaną dla wszystkich tak zbytkujących. — Ale dosyć już o tém. Sapienti sat!

Po przedstawieniu, najrozmaitszych ułomności i naszych wad narodowych — w śmiałych — a pełnych prawdy wyrazach, od str. 246. rozbiera autor broszurę napisaną i wydaną w roku bieżącym przez p. H. v. H. pod tytułem: Das Verhältniss der Provinz Posen zum Preussischen Staatsgebiete. — Broszura ta z dziwną napisana śmiałością co do rządu z jednéj strony, — z drugiéj co się nas tyczy z niesłychanym jadem, tendencją niegodziwą i haniebnym cynizmem, aczkolwiek dla Niemców tylko, jak to sam wyznał p. H. v. H. „Ich möchte daher so recht ein Herzblatt pro domo schreiben“ (str. 7) dostała się jednak i do domu polskiego — i dowiadujemy się z niéj, że rząd zanadto jest opieszały co do germanizowania w księstwie narodowości polskiéj, że obecnie powinien działać naprzeciw nam „liebenswürdig aber energisch“ aby do szczętu wytępić w nas pierwiastek narodowości naszéj. — Dotykając wszystkich stanów w rządzących i rządzonych, najbardziéj sarkastycznie występuje przeciw kościołowi i duchowieństwu — ani charakteru kapłańskiego, ani ambony, ani konfesjonału nie szanuje wcale — ale gdzie tylko może zjadliwie zaczepia — dość rzucić okiem na 15, 42, 60 i następne stronnice aby się przekonać o dziwnéj namiętności prześladowania nas. — Na 48 stronnicy bolesną bardzo daje naukę renegatom, którzy z żądzy znaczenia i utylitarnych względów płaszczą się i upadlają, zapominając o godności narodowości swéj — a jak mówiąc o duchowieństwie nie oszczędził osoby samego nawet X. Prymasa (str. 42), tak tu niedyskrecję posuwa do tego stopnia, że z nazwiska wymienia osoby, które się zaparły narodowości polskiéj (str. 48); gdybyż jeszcze sprawiedliwie!

Z okazji téj broszury p. Jackowski odkrywa zamach, jaki się gotuje ze strony przeciwnéj na narodowość naszą — wykazuje konieczność zjednoczenia sił narodowych ku wspólnéj pracy — tém zjednoczeniem ma być organizacja, któréj znowu celem ma być „dźwiganie równoczesne na wszystkich punktach sprawy narodowéj i społecznéj na podstawie służących nam praw krajowych“ (str. 290). Zadaniem zaś organizacji ma być neutralizowanie wszelkich prac organicznych... prostowanie krzywych pojęć i wyobrażeń pod względem narodowym i społecznym, rugowanie starych zakorzenionych błędów — baczność i czujność na wszystkie strony, aby prawa nasze narodowe nie były uszczuplane, aby „postawa narodowa“ imponowała przeciwnikom umiejętną pracą i pełną spokoju i godności wartością wewnętrzną.

Wyborne to wszystko — poczciwie obmyślane — ale zanadto ogólnikowe. — Otóż prosilibyśmy autora, aby nam zechciał stawić taki program, który jest praktyczny — którego organizatorem nie będzie nic idealnego, ale rzeczywistość dająca wprowadzić się w czyn. Kończąc to może przydługie sprawozdanie, serdecznie raz jeszcze zachęcamy czcigodnych rodziców do odczytania, obszernego traktatu p. Jackowskiego o wychowaniu domowém — który, gdyby tylko sam jeden, mieścił się w książce, którą rozpatrzyliśmy — jużby ona zasługiwała na powszechną Ziomków uwagę.

X. Ignacy Polkowski.

Skrzynka do listów.

Panu Hr. E. P. w Wrześni. Dwa pierwsze numera rozsyłaliśmy na okaz.

Panu Dr. Ł. w Jassach. Zapewne odebrałeś Pan już szczegółową odpowiedź.

Księdzu Dro..... w Brukseli. Kwartalna przedpłata dla Belgji wynosi $21\frac{1}{2}$ sbr. Kochanemu Włodzimierzowi W. dziękujemy za pamięć — warunki podaliśmy listownie.

Panu Władysławowi N.... w Krz.... dziękujemy serdecznie za nadesłane nam życzenia.

Hrabiemu na Lodowéj Turni: Z wdzięcznością przyjmujemy nadesłaną pracę; uwzględnimy wypowiedziane w liście życzenia.

Panu Józefowi Nieczui na Rusi. Pełen uczucia wiersz pański p. t. „Nowy rok na tułactwie“ dla niedostatków formy w piśmie naszém drukowanym nie będzie.

Panu J. Gr... we Lwowie. Artykuł przydał nam się bardzo. Dziękujemy. Warunki podamy listownie.

Panu Władysławowi Czaplickiemu w Krakowie: Baron Ol... już opuścił nasz gród. Interes wiadomy z p M.... załatwimy wkrótce wedle pańskiego życzenia.

Szan. Stowarzyszeniu „Ogniwo“ w Pradze. Braterskie pozdrowienie! List w tych dniach wysłany.

Panu baronowi W. Eng... w Dreznie. Dziękujemy. — Prosimy o więcéj.

Panu Bronisławowi D... w Śr... Przypominamy się łaskawéj pamięci.

Panu Józefowi St. w Gnieźnie. Z prawdziwą przyjemnością dowiedzieliśmy się z Pańskiego listu o zamiłowaniu Jego dla piśmiennictwa naszego i szerzeniu oświaty, któréj bezzaprzeczenie czytelnie są znakomitą podstawą. Zasyłamy Szczęść Boże!

Panu Szcz... w Lesznie. Wiadomych autentyków oczekujemy.

Panu Bol. Rog... w Z. Dziękujemy — wiersz nadesłany znajdziesz Pan wkrótce w „Tygodniku.“

Panu Ant. Kras... w Ostr... Urzędy pocztowe, na których złożono przedpłatę, zobowiązane są dostarczyć żądanych egzemplarzy pisma.

Pannie K. K. w S. Słuszne są uwagi Pani co do charakterystyki kobiét w powieści p. Marty Moimir. Powiedzieć, że Niemki są „najlepsze“, a Polki najzalotniejsze, jest co najmniéj niesprawiedliwością. Godzimy się również na trafne uwodwodnienie pewnych skłonności „w sztywnych córach Germanji“ — lecz recenzent nasz nie wdawał się w tak szczegółowe ocenienie „Wielkiego losu“, a my już dziś wznawiać téj kwestji nie możem.

Księciu R... Cz... w Berlinie: Pospieszamy z przesyłką.

Pannie B... Mo... w miejscu: Serdeczne składamy podziękowanie.

Korespondentowi naszemu z ziemi Warmińskiéj: Wypuściliśmy ustęp, zawierający wycieczkę przeciw nieprzychylnym nam osobistościom.

X. J... Cz... w Antwerpji: Przedpłata Tygodnika Wielkopolskiego w Belgji wynosi $21\frac{1}{2}$ sbr. kwartalnie, które dołączyć można do listu, zamawiającego Dziennik Poznański. Dziękujemy za pamięć.

Pannie M... Śliczny wierszyk Pani p. t. „Biedna dziecina“ będzie wkrótce drukowany.

Panu B. Lim... we Lwowie. Przedewszystkiém prosimy o nadesłanie nam pracy; warunki podamy listownie.

Odpowiedzialny redaktor Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.